



czyli kolejna dawka środków nasennych

\* na zdjęciu: najmłodszy korespondent bocznego toru w otoczeniu redaktora naczelnego

## **Ile już było**

Ile już było miłości, ile nocy rozgrzanych, ile czasu danego i tego złego, co jakby co, to nie my? Mało. Mało. Mało. Od słów nie przybędzie.

## **Jak podnieść jakość życia**

Jeśli jest okazja ku temu, warto pomyśleć o czymś lepszym. Oczywiście, nie popadając w przygnębienie, gdy się okaże, że o lepszym to można jedynie pomyśleć. Podnieść jakość życia? Pewnie, że tego by się chciało, tego się właśnie oczekuje od życia.

Mam w notesach całą listę postanowień. Jak się ma taką listę i się do niej zajrzy choć raz w roku, to się coś niecoś o sobie wie. Choćby to, że słowu „jakość” blisko jest do słowa „jakość”. Albo że same postanowienia to niewiele. I wie się także to, że podnieść jakość życia – i owszem, spróbować można; utrzymać jest trudniej. Mimo wszystko, jak się przeżyło to i owo, to się powinno mieć w pamięci jakiś projekt wznoszący, wizję czegoś lepszego, bo punkty podparcia są w zasadzie stabilne – już się wie, co można, a czego nie, co ulgę daje, a co rozczarowuje.

Najgorsza jest nerwowość. Życie w atmosferze nerwowości to życie straszne. Jeszcze straszniejsze może być tylko życie bez uczuć. Tak bywa, że jedno z drugim się łączy i trudno się nieraz polapać, co jest czego przyczyną, a co skutkiem czego doskwiera, więc postanowienie zmiany na lepsze gdzieś przepada, i żyje się dalej niemal bezwiednie. To nie jest złe rozwiązanie.

Gdybyście mnie spytali, co robiłem przedwczoraj, powiedzmy o dwudziestej drugiej trzydziści, nie umiałbym sobie przypomnieć. Czy robiłem coś istotnego? A co to znaczy: istotnego? Ktoś mi chce chyba popsuć humor, bądź co bądź jestem istotą, czy mi się to podoba, czy nie. To prawda, przyznaję, że się często traci czas na niczym. Ale, że spytam: jaka to różnica tracić czas na czymś czy na niczym, skoro się go i tak traci?

Na liczniku tysiące kilometrów nabytych między kuchnią a pokojem. Ani się nie oddaliłem, ani nie zbliżam, pusty przebieg, puste kalorie – nie szkodzi. Nie chodzi przecież o to, by uparcie dochodzić do swego, chodzi bardziej o dochodzenie do siebie, o ruch w pionie, o wyprostowanie... W nieoczekiwanych momentach pojawiają się przeblyski jasności, że z życiem jest wszystko w porządku. Że po prostu jest.

## **Nie ma to tamto**

Na ziemi dostarczamy sobie tylu wrażeń, trudno spamiętać, przemyśleć, łatwiej wpaść w wir marazmu. Mija czas, mija gniew, mijają okazje, coraz mniej powodów do ucieczki. Chcemy jednak, chcemy nadal, jak chcieliśmy zawsze: realizować się, realizować coś, realizować się poprzez coś. Jak nie, jak tak?!

## **Związki**

Powiedzieć cokolwiek, żeby nie powiedzieć czegoś innego, czy przemilczeć? Rozumieć się czy porozumiewać? Jakże często nie sposób odróżnić, co jest czym oczekiwaniami i czego oczekiwaniem jest to oczekiwanie. Większość związków między ludźmi to związki frazeologiczne\*. Żebym to był wiedział wcześniej!

## **Stiller**

Kiedy ktoś zaprzecza moim intencjom, wtedy zaczynam wątpić, czy jestem bezpieczny w swoim ciele, myślach, odruchach, nabytych umiejętnościach. Tracę wyrazistość, choć potencjalnie byłem przygotowany: wiele rozumiejący, potrafiący usprawiedliwić... Ta potencjalność jest przerażająca! Przeraża mnie brak temperamentu i inteligencja używana wyłącznie do tego, żeby nie robić błędów.

## **Przekroczyć własne możliwości**

Cokolwiek się zdarzy – niebawem i tak będziemy wszędzie i wszystkim.

## **Stopniowanie faktu**

Porównanie „Nowego słownika języka polskiego” z wydaniem starszym dodaje otuchy – żyjemy dziś w rzeczywistości z definicji korzystniejszej. Dawniejsza »rzeczywistość« to „ogół rzeczy, to wszystko, co istnieje niezależnie od poznającego podmiotu”, a teraz: „ogół rzeczy, to wszystko, co istnieje”. Moje przecucia znajdują potwierdzenie: rzeczywistość jest utkana z naszych złudzeń.

Kartkuję słownik do hasła »brak«. Tu bez zmian, przykłady jak sprzed lat. Brak wciąż oznacza to samo: „fakt nieistnienia czegoś, nieobecność czegoś, niedostatek czegoś; na przykład: brak gotówki, brak mieszkań, brak skrupułów”. Wiem, co postanowić, lecz wstrzymuję się z ostatecznym wnioskiem, skoro »oczywisty« może być »oczywistszy«.

## **Zasadnicze ludzkie wartości**

Tych kilka czasowników w czasie teraźniejszym.

## **Mieć dziecko**

Jak to jest mieć dziecko? To jak odświeżyć pamięć i korzystać z uczuć, które w samotności pokrywały się z tęsknotą za najodleglejszym łądem, z tej rezerwy uczuć niestraconych w przygodnych romansach, niepodzielnych w miłości, w której daje się z siebie ile można, by być razem, a dać więcej to znaczy zapomnieć, jak kochać i zaprzeczyć temu, co jeszcze możliwe.

Jest też odpowiedź krótsza: fajnie.

/ dast

\* Związki frazeologiczne – utarte połączenia wyrazowe odtwarzane w całości tak samo, jak pojedyncze wyrazy danego języka; od zwykłych połączeń słownych różnią się przede wszystkim tym, że ich znaczenie nie jest sumą znaczeń elementów składowych.

### **Wysoka tonacja niskich lotów**

Podobno, przeczytałem o tym w gazecie, zadowoleni ze swojego wyglądu mężczyźni czują się spełnieni w roli kochanków, przyjaciół oraz – co ciekawe – intelektualistów. Zadowoleni z wyglądu, czyli: z budowy ciała, wzrostu, włosów. Czy wszystkich tych rzeczy naraz – nie napisano. Zanotowałem ogólną tezę: „wysokie poczucie własnej wartości w jednej dziedzinie promieniuje na inne”.

Ze mną jest tak: od małości bardzo chciałem być kimś wielkim – chciałem być poetą, pisarzem powieści, autorem sztuk, malarzem obrazów, chyba w tej kolejności, i jeszcze filmy robić chciałem, reżyserować. Ambicje! Nie ma na nie rady. Ja zawsze chciałem być kimś znanym, bo być Kimś, jak myślałem, daje więcej niż zabiera, poza tym wielkie do wielkiego garnie, a i małe przyciąga. Ach, wybić się ponad przeciętność, podziw wzbudzać, rozbudzać napiętność... Cóż, mam niestety wybitne zdolności do odwiekania na później. Tym tylko można tłumaczyć, czemu się wielkim kimś nie stałem. Jak o tym pomyślę, odczuwam przykre ssanie. I żal. Promieniujący od żołądka żal.

Na pocieszenie zostaje mi wzrost: te moje metr i osiemdziesiąt pięć centymetrów. Wprawdzie jest tego maksymalnie tyle rano w niedzielę, gdy się wyciągam w łóżku i nie przykurcza konieczność wstania, ale już coś, już coś, myślę, że te ponad metr osiemdziesiąt inteligencji i seksu w zapasie mam. Pytanie: po co?

### **Pory roku przemieszkane**

Zima: śnieg w zamrażarce, ziola w torebkach do zaparzania; proste skojarzenia, z którymi nic nie można już zrobić. Wiosna: w sercu, w trawie, w niepokoju. Potem lato pełne chwil. Później jesień, szybszy sen. Ale teraz – nie wiadomo, pory roku przemieszane. Światło zza okna obiega ściany.

### **Ciche powroty**

Jedziemy w deszczu. Za szybą rozwleczone pola i wyplukane z barw miejscowości. Mówię: pustynia z oazami szpetoty, jedyny ślad życia to porozrzucane żelastwo, tu wszyscy powymierali. Milczy, pełne zrozumienie. Więc dodaję, że w ogóle syf, nic tylko syf. Mijamy ostatnie gospodarstwo. Nie mogę zrozumieć, dlaczego znaki ograniczenia szybkości stawiane są właśnie w miejscach najmniej przyjemnych dla oka, żeby wzbudzić odruch litości? Asfalt paruje, gdzieś tam pewnie słońce przebiło się wreszcie przez warstwę mgły. Robię się niecierpliwy. Jesteś pełny goryczy, dlaczego? Wydaje ci się, odpowiadam, przyspieszając na zakręcie. Właściwie co ci się we mnie podoba? Coś ci się jeszcze w ogóle podoba? Wyprzedzanie na zakręcie w deszczu i mgłę. Dopiero teraz dociera do mnie, że rozmawiam ze sobą. Znowu jadę w bezruchu, nic się we mnie ożywczego nie budzi i nie przypomnę sobie powodu, dla którego ruszyłem się z domu. Nie wiem, co będzie dalej i dlaczego

czasem jest tak, że coś raczej jest niż go nie ma, a czasem tak, że nie ma tego, czego się spodziewałem. Nie potrafię być szczery i nie umiem doskonale klamać. Ale wybaczam to sobie. No i mogę już wracać.

### **Szcęście sprzyja lepszym**

Niewiele potrzeba do szczęścia, jeśli się wie, co to słowo oznacza. Jeśli się nie wie – to czego chcieć?!

### **Chłopaczki**

Chłopaczki skaczą po dachach garaży. Ciekawe, co im się marzy. Czy myślą o tym, że będą mieć żony, że będą szukać dla siebie pracy. Czy któryś z nich złamie nogę na prostej drodze?

### **Odlot gwarantowany (mantra)**

Powtórzcie sobie: cele cele cele.

### **Płasko po horyzont**

Na równinie widać więcej. Już z daleka rozpoznajesz własne plecy.

### **Wyż**

Lepiej być młodym, pięknym i bogatym mordercą, niż garbatym stróżem prawa na rencie.

### **Sztuka miłości (haiku)**

Ucieczka przed, wyobrażona jako bieg ku. [cyt. za Z. Baumanem]

### **Niestrawność (przyśpiewka)**

Włosy na lydkach potargał wiatr, poszliśmy w świat i świat nas zjadł.

### **Na co dzień**

Na co dzień, jeśli po nieprzespanej nocy?

### **Kto to powiedział?**

Pędziliśmy bez troski dni, bawiąc się prawie jak dzieci.

### **Hit roku**

A kiedy kupiliśmy mieszkanie, postanowiliśmy wydzierżawić działkę.

### **Poniedziałek (czeski żart)**

Poniedziałek rano. Dwóch facetów czeka na tramwaj: jeden na „1”, drugi na „3”. Przyjechała „13”. Wsiedli obaj.

### **Na wagę złota**

Na wagę złota nie wpływa kształt.

### **Prawda i fałsz (magia słów)**

Dwa słowa. Trzy słowa.



/dast

Luz Marija

## POWIEŚĆ W ODCINKACH



Już dniało, gdy wychodziła, ledwo trzymając się na nogach, z mieszkania kochanka. Słońca nie było widać, ale mleczne i rześkie światło otaczało śpiący ciągle świat aurą nierzeczywistości. Ile to czasu upłynęło od mojego ostatniego świtu – pomyślała. To było, mhy, kiedy jeszcze jeździłam na saksy i sprzątałam biura. Ach, jak ja sprzątałam... Każdy pokój był inny, tyle mówił o człowieku w nim pracującym: jeden miał składany okręt i sterylne biurko, na którym zawsze zostawiał jakąś pułapkę: mały patyczek, odcisk kubka... Czulałam się testowana i uwielbiałam te testy zdawać... Albo ta ruda z milionem gadżetów przedstawiających koty: pręgowane szaraki, białe, grube i wychudzone, i takie całkiem lyse... A te dywany: włochate, aksamitne, raczej salonowe niż biurowe. Co to było za cholerstwo...

Dziwny dźwięk wytrącił Ewę z zamyślenia, jakby syk węża. Spojrzała w niebo, skąd dochodził: aaa, to tylko jej młody bóg stoi na balkonie i bezwstydnie nagi pali papierosa. Jest naprawdę piękny: gdyby nie jego masywne lydki nijak nie pasujące do maślanych, długorzęsych oczu, nie mogłaby go wziąć. Ewa nie lubi, a może trochę się boi, ludzi doskonałych, węsząc w ich obecności jakiś podstęp natury. Paweł na szczęście ideałem nie jest, właśnie ziewnął na tyle głośno, że spojrzała na niego raz jeszcze i posłała mu gwiazdorskiego buziaka. Do zobaczenia wkrótce, mój maly...

Podjechała taksówka. W środku siedział typowy przedstawiciel gatunku: sfrustrowany wożeniem ludzi za zawsze zbyt małe pieniądze kierowca. Wypruwa sobie flaki dla klientów biorących krótkie kursy, później stoi parę godzin w oczekiwaniu na następnego, nie odczuwającego szacunku do pracy taksówkarza nieroba. Bo wszyscy mają lepiej, on sam pamięta czasy, gdy taryf było w sam raz, a motloch wystawał w ogonkach przy każdym postoju taksówek. Wtedy mu się żyło: sąsiedzi szanowali, ustawił obu synów, kupił działkę i postawił dom.

To światło, to światło... Choć lubiła się wyspać, żalowała, że nie widuje swojego miasta takim częściej. I że nie czuje wyjątkowego zapachu letniego świtu codziennie. A teraz już do domu, do swojego łóżka. Dobrze, że dziś sobota.

Pani Hania z parteru, samotna emerytka, przypatrywała się wychodzącej z samochodu Ewie zza stylonowej, kwiecistej firanki. Kuchnia, z której wychodziło okno, była zresztą jej ulubionym miejscem obserwacji świata; czasem siadała na rycze i godzinami analizowała zjawiska zachodzące na jej podwórku: łączyła fakty, snuła domysły i upewniała się w nich na tyle mocno, że w końcu stawały się, w jej mniemaniu, prawdą ostateczną. O ile stosunkowo łatwo przyszło jej dostrzec związek między siniakami Weroniki,

matki bliźniaków z trzeciego, a jej bardzo uprzejmym mężem, lub przyczyny, dla których Jóżkę w końcu wyrzucili od Jehowych, ciągle nie mogła złożyć historii Ewy. Ta wysoka, szczupła brunetka idąca właśnie w jej stronę wymykała się Historii ilekroć była prawie wyszlifowana. A dziś to już przeszła samą siebie – skąd wraca, przecież nie pracuje na nocki, zmęczona ale promienna?! Musi być. Zdradziła męża. Co też dzieje się na tym świecie – powiedziała w myślach i z werwą zaczęła szykować sobie śniadanie.

Ewa jak najciszej przekręcała klucz w zamku; cholera, trzeba go wreszcie naoliwić. Cicho zdjęła buty, zajrzała do pokoju małej, która – całe szczęście – spała w najlepsze. Ta cudownie nadąsana mina, którą dzieci mają tylko podczas snu, odcisnięta faktura poduszki na prawym policzku i nóżki rozrzucone na całej szerokości łóżka spowodowały ścisw w gardle. Kogoś tak pięknego urodziłam i mam pod opieką, kogoś tak cudnego... Już pościel. I spać, spać...

Kiedy wstała, na lekkim jeszcze rauszu spowodowanym raczej przebiegiem poprzedniej nocy aniżeli tymi paroma drinkami wypitymi przed wyjściem z Windy, w mieszkaniu panowała porażająca cisza. W głowie szumiały dziwne emocje, skądś pamiętane, tylko skąd... I ta niespotykana cisza – Julia nigdy tak cicho się nie bawi. Pewnie wyszli na spacer – pomyślała i zakopała się w ciepłej pościeli, by jeszcze trochę podrzemać.

Zobaczyła taflę jakiegoś olbrzymiego, bezkresnego jeziora, woda lekko falowała, ale nie było słychać wiatru. Jakby ktoś wyłączył fonię. Ewa poczuła, że zaczyna unosić się ponad lustrem wody, leci...

■

No Taataa... ja nie umiem robić takiego porządkuuu... – wyrwana ze snu jeszcze przez długą chwilę nie umiała skojarzyć, co jej czteroletnia córka robiła na brzegu i co chciała, lub raczej – czego nie chciała sprzątać... W końcu, oprzytomniawszy, usiadła na łóżku, wbiła stopy w bambosze i szurając leniwie wypelzła z pokoju.

Stała przed nim, z nieobecnych, ale trochę niespokojnym wzrokiem, i już wiedział, że nie powinien pytać, gdzie była. Zamiast tego rzucił perfekcyjnie niedbale: robimy śniadanie, ta matka to wie, kiedy się obudzić, co Julia?! Fajnie... odburknęła Ewa, znikając za drzwiami łazienki.

Nie miał w zwyczaju wyciągać z kogokolwiek zdań usprawiedliwienia i zwierzeń. Jego obawa o naruszenie strefy intymnej rozmówcy graniczyła z obsesją. A przecież – w jego mniemaniu – była naturalną konsekwencją prośby do świata o święty spokój. I jeszcze – nie umiał słuchać kłamstw; dość miał ich w domu, gdzie odbijały się echem, wypluwane przez ojca i matkę. Odbijały się,

potężniały, dusiły, nie dawały spać po nocach. Trzeba było otwierać szeroko okna, by kracząc przeraźliwie, ulatywały w puste podwórko. On wie, że tylko milczenie może zbawić jej i jego dusze. Cisza, zasłona nad niedoskonałym życiem...

Gorąca woda sunęła po jej ciele, przepływała i pieściła. Przypominała te sklezione wilgocią, bujne i niemęskie rzęsy kochanka. – Dlaczego nie ma go w tej chwili przy mnie, nie stoi, mokry i ciepły, tuż obok? Zamiast – w kuchni przy stole, zimny i nieczuły, metodycznie smarujący chleb masłem człowiek, którego nie rozumiem? Jak on może tak nic nie powiedzieć na jej oczywistą winę? Co musiałabym zrobić, żeby wykrzesać z niego choćby żdźbło zazdrości? Niewrażliwy sukinyń! Nagle, jakby zabrakło jej sił, oparła się o ścianę całym ciężarem i zaczęła histerycznie płakać.

■  
– Rana na twarzy Matki Boskiej Częstochowskiej się wydłuża. Kiedy dojdzie do serca, nastąpi koniec świata, wiesz?!

Z ust do ust apokaliptyczna wizja dotarła wprost do wyobraźni dziewczynki. Czternastolatka wpatrywała się w obrazek na ścianie i widziała tę wydłużającą się kreskę i wiedziała, za co to wszystkich nareszcie spotka. Ten koniec ledwie będący przyczółkiem jej kruchego, z czego zdała sobie sprawę, życia. Te męczarnie, jeźdźcy bezlitośni i sprawiedliwi, sąd...

– Ewuuniu, kolega przyszedł, chodź.

Głos matki wyrwał małą z zamyślenia. Przed drzwiami stał niewysoki, drobny chłopiec w za dużych na jego ptasią twarz okularach.

– Cześć, Ewo. Idziesz zobaczyć, jak chmury układają się w krzyż?!

Podobało się jej, jak się do niej zwracał, zawsze tak serio. Jakby była dorosła.

– Niee wiem, mama mówi, że to głupoty...

– Chooodź. Będzie fajnie...

Kiedy stanęli na szczycie góry, słońce właśnie odpływało za sztuczny horyzont bloków, a na niebie kłębiły się fantastycznie ubarwione, puchate kumulusy. Ludzie stali z zadartymi głowami w poszukiwaniu znaku, raz po raz rzucając piskliwie: ooo, to chyba to... Nagle, kolejnym ruchem chmur, odsłonił się krzyż. Idealny, chrześcijański, a może nawet – katolicki. Tłumek zamarł i powoli zaczął się przeredzać. W milczeniu, jak na komendę, wracali do swojego bloku. Chłopak od pewnego już czasu kombinował, jak koniec świata zamienić w wymierną korzyść. Dopiero gdy znaleźli się na jej klatce schodowej, poprosił:

– Pocaluj mnie. Ostatni raz...

– Ale przecież ja cię jeszcze nigdy nie pocalowałam – trzeźwo zauważyła dziewczyna.

– No właśnie, nigdy, a jeśli jutro będzie koniec świata? Albo w nocy?

■  
Od dziecka śniła dość niepokojąco. Kiedy, spocona i fizycznie wykończona, dopadała wreszcie ramion matki, nie znajdowała słów mogących oddać nawet skrawka tego koszmaru nad koszmarami. Na wspomnienie tej niemocy Ewa nieodmiennie drżała – nawet dziś, dorosła, radząca sobie z językiem całkiem niezłe, nie umie go oblaskawić. Wie, że sedno strachu siedzi poza jakimkolwiek dźwiękiem. Jest raczej obrazem – o milionie wymiarów, o nieskończonej przestrzeni i czasie; jest objawioną w malignie prawdą o chaosie i bólu. W tym śnie porządek, spokój i bezpieczeństwo udają, że są pewnikami i działając na emocje promieniują stałością, rodzicielskim ciepłem. I tak trwa. Jednak gdzieś i kiedyś zaczyna się pojawiać malutka skaza, zrazu niezauważalna, podstępna i bezgłówna. To idzie niepewność, samotność, strach. Powolotku, sunie jak cień w zimowe dni, nieostre kontury udają, że w ogóle ich nie ma – ale to on, to chaos. Zaczyna władać przestrzenią, dominować brudem przynależnych mu barw. Robi się zimno, wszędzie daleko, samotnie i bezbronne.

Czy to tylko dziecięcy demon, skoro do dziś zdarza jej się pod powiekami odnajdywać szczątki tego lęku?! I w panice podrywać się na łóżku, by tylko uciec od niepokoju?! [cdn.]

/ Luz Marija, 2003



Tlazolteotl (1350-1521), rzeźba aztecka

Max Frisch

## GDZIEŚ TY BYŁ, IZYDORZE?



Opowiem historyjkę o Izydorze. Prawdziwą historię! Izydor był aptekarzem, człowiekiem w sile wieku, uczciwym, niezłe zarabiającym, ojcem licznego potomstwa. Nie trzeba podkreślać, że był wiernym mężem. Mimo to nie znosił wiecznego wypytywania, gdzie był. Wpadał wtedy w furję, wewnętrzną, na zewnątrz nie dawał po sobie nic poznać. Nie było to warte sprzeczki, gdyż, jak mówiłem, w gruncie rzeczy małżeństwo należało do szczęśliwych. Pewnego pięknego lata przedsięwzięli, jak to wtedy właśnie było w modzie, podróż na Majorkę. Poza ciągłymi pytaniami żony, które go w skrytości ducha złościły, wszystko było w najlepszym porządku. Izydor potrafił być na wakacjach wyjątkowo czuły. Piękny Awinion zachwyił ich oboje; spacerowali pod rękę. Izydor i jego żona, bardzo miła kobieta, przybyli do Marsylii dokładnie w dziewiątą rocznicę ślubu. Morze Śródziemne lśniło jak na plakacie. Ku cichemu gniewowi żony, która już stała na pokładzie statku mającego odpłynąć na Majorkę, Izydor oświadczył w ostatniej chwili, że musi kupić gazetę. Może uczynił to w pewnej mierze na przekór, z powodu rozpytywania się żony, dokąd znowu idzie. Bóg mu świadkiem, że nie zdawał sobie z tego sprawy; ponieważ statek stał jeszcze, Izydor męskim zwyczajem poszedł się trochę powłóczyć. Tylko z przekory zagłębił się w jakiejś francuskiej gazecie. Kiedy jego żona faktycznie znalazła się w drodze na malowniczą Majorkę, Izydor, przerażony rykiem syreny okrętowej, spojrzal nareszcie znad gazety i stwierdził, że nie znajduje się u boku swej małżonki, lecz na pokładzie dość parszywego transportowca, który, wyladowany po brzegi ludźmi w żółtych mundurach, również był już pod parą. Właśnie zwijano grube liny. Izydor ujrzał już tylko oddalające się molo. Nie umiem powiedzieć, czy stracił wkrótce przytomność pod wpływem potwornego upału, czy wskutek ciosu, który mu wymierzył sierżant w podbródek; mam natomiast odwagę utrzymywać z całą pewnością, że aptekarz miał w Legii Cudzoziemskiej życie twardsze niż dawniej. O ucieczce nie można było myśleć. Żółty fort, w którym wychowywano Izydora na mężczyznę, stał samotnie na pustyni i Izydor nauczył się cenić jej zachody słońca. Na pewno myślał czasami o swojej żonie, kiedy nie był zmęczony, i niezawodnie byłby do niej napisał, ale istniał zakaz korespondowania. Francja walczyła jeszcze o swoje utracone kolonie, wskutek czego Izydor zwiedził strony świata, o których mu się nawet nie śniło. Rzecz jasna, zapomniał o swojej aptece, jak inni o swej kryminalnej przeszłości. Z czasem Izydorowi przeszła nawet tęsknota za krajem, o którym stwierdzał na piśmie, że stanowi jego ojczyznę. Toteż, powodowany czystą przyzwoitością,

wkroczył po upływie wielu lat, pewnego pięknego dnia, przez furtkę ogrodową, brodaty, wychudzony, trzymający helm tropikalny pod pachą, aby sąsiedzi, którzy od dawna uznali aptekarza za zmarłego, nie wpadli z powodu jego niezwykłego stroju w zdenerwowanie: oczywiście miał również pas i rewolwer. Było to niedzielne przedpołudnie, żona, którą, jak już mówiliśmy, kochał, choć w ciągu wszystkich tych lat nie napisał do niej nawet kartki, obchodziła właśnie tego dnia urodziny. Na widok nie zmienionego domostwa, z ręką na klamce furtki, która była nie naoliwiona i skrzypiała jak dawniej, zawahał się przez mgnienie oka. Pięcioro dzieci, wszystkie do niego podobne i wszystkie o siedem lat starsze, tak że ich wygląd go zdziwił, zaczęło z daleka już wołać: tatuś, tatuś! Nie było odwrotu. Izydor kroczył naprzód jak mężczyzna zahartowany w ciężkich bojach. Miał nadzieję, że ukochana małżonka, jeśli ją zastał w domu, nie zażąda wyjaśnień. Szedł przez trawnik, jak gdyby wracał ze swojej apteki, a nie z Afryki i Indochin. Małżonka siedziała pod nową parasolką, nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Izydor nie widział nigdy wspaniałego stroju porannego, który miała na sobie. Służąca, będąca również nowością, natychmiast postawiła filiżankę przed brodatym panem, którego niewątpliwie, lecz bez cienia potępienia, uznała za nowego przyjaciela domu. Izydor oświadczył, że chłodno tu w kraju, po czym opuścił podwiniete rękawy koszuli. Dzieci były wniebowzięte, że mogą bawić się helmem tropikalnym, przy czym nie obeszło się oczywiście bez klótni. Kiedy zjawiała się na stole świeża kawa, zapanował nastrój zdecydowanie idylliczny: niedzielny poranek, bicie dzwonów, tort urodzinowy. Czego Izydor mógł chcieć więcej? Nie kępując się obecnością służącej, która krzątała się jeszcze przy nakryciu, Izydor wyciągnął rękę ku małżonce. „Izydorze!” – zawołała i nie mogła mu nalać kawy, tak że brodacz sam sobie napelnił filiżankę. „O co chodzi?” – zapytał czule, nalewając i jej kawę. „Izydorze!” – zawołała bliska placzu. Objął ją. „Izydorze! – zapytała – gdzieś był tak długo?”. Izydor, ogłuszony przez chwilę, odstawił filiżankę. Po prostu odzwyczaił się od tego, że jest żonaty. Stał przed krzakiem róży z rękami w kieszeniach. „Dlaczego nigdy nie napisałeś choćby kartki?” – zapytała. Wtedy on odebrał zdumionym dzieciakom helm tropikalny i krótkim, wprawnym ruchem wsadził go na głowę. Podobno pozostawiło to u dzieci do końca życia niezatarte wrażenie. Tatuś z helmem tropikalnym, z kaburą na rewolwer, jedno i drugie nie tylko autentyczne, ale wyraźnie już nieco zużyte! Kiedy małżonka powiedziała: „Wiesz, Izydorze, tego naprawdę nie powinieneś być robić!”, Izydor miał dość rodzinnego nastroju. Wyciągnął rewolwer (sądzę, że znowu szybkim, wprawnym ruchem) i oddał trzy strzały do miękkiego, jeszcze nie tkniętego tortu, ozdobionego pianą. Można



sobie wyobrazić, jakie to wywołało skutki. „Izydorze!” – wrzasnęła małżonka. Jej strój poranny był od dołu do góry pokryty bitą śmietaną. Gdyby nie niewinne dzieci, będące naocznymi świadkami, ową całą wizytę, która nawiasem mówiąc trwała zaledwie dziesięć minut, uznałaby za halucynację. Otoczona pięciorgiem dzieci, podobna do Niobe, ujrzała jeszcze, jak nieodpowiedzialny Izydor wychodzi spokojnym krokiem za furtkę ogrodową w swoim niemożliwym helmie tropikalnym na głowie. Po tym szoku biedna kobieta nigdy już nie mogła patrzeć na tort, nie myśląc o Izydorze. Był to stan, który ją czynił osobą godną politowania; w cztery oczy, a właściwie w trzydzieści sześć oczu, doradzono jej rozwód. Jednak dzielna kobieta ciągle jeszcze miała nadzieję. Sprawa winy była zupełnie jasna. Ale ona jeszcze liczyła na skruczę, żyła wyłącznie dla pięciorga dzieci splodzonych przez Izydora i jak Penelopa przez rok jeszcze wzbraniała się usłuchać adwokata, który nie bez osobistego zainteresowania nalegał na rozwód. I oto znowu w dzień jej urodzin Izydor powrócił, przywitawszy się jak zwykle opuścił podwinęte rękawy koszuli, znowu pozwolił dzieciom bawić się swoim helmem. Tym razem jednak radość ich, że mają tatusia, nie trwała nawet trzech minut. „Izydorze! – rzekła małżonka – gdzieś się znowu podziewał?”. Izydor podniósł się, tym razem nie strzelał, dzięki Bogu, i nie odebrał dzieciom helmu, nie, podniósł się tylko, zakasał znowu rękawy i ruszył przez furtkę ogrodową, aby już nigdy nie wrócić. Biedna małżonka podpisała skargę rozwodową nie bez łez. Musiała to jednak zrobić, gdyż Izydor nie zgłosił się w ramach ustawowego terminu. Apteka została sprzedana. Nowe małżeństwo żyło skromnie, odsunięte od świata, po upływie ustawowego terminu zaś zostało zatwierdzone przez urząd stanu cywilnego. Krótko mówiąc, wszystko potoczyło się trybem normalnym, co miało wielkie znaczenie dla podrastających dzieci. Odpowiedzi, gdzie ten tatuś obją się po szerokim świecie, nie otrzymały nigdy. Nie nadeszła także ani jedna wido-kówka. Mama nie chciała, by dzieci o to pytały – ona sama nie powinna była nigdy pytać go o to... / Max Frisch, Stiller, 1954

Szanowna redakcjo!

Nazywam się Klaudia Rogowicz, mam 16 lat. Jestem absolwentką gimnazjum nr 13 w Dąbrowie Górniczej. Znam 5 języków obcych. Interesuję się kulturą krajów byłej Jugosławii oraz Węgier. Informacje na ich temat czerpię z prasy, radia, książek i internetu. Od 3 lat piszę wiersze, które zostały nagrodzone w wielu konkursach literackich. Były one publikowane w prasie lokalnej oraz słoweńskim "Mentorze". Moje wiersze były czytane na antenie Radia Katowice. / summer\_sun@interia.pl

## Klaudia Rogowicz Sztyletem serce w trzy kolory malowane

*Sandorowi Petöfiemu*

Mam na imię Sandor.

Już 26 lat po tym świecie, mozaice bizantyjskiej stąpam.

Poetą jestem,

przy karteczce siadam,

słowa wiersza na niej wypisuję.

Wśród wzgórz wichrowych głośno śpiewam,

jablek zielonych smak nad życie Kocham.

Gdy nikt nie widzi,

imię swej znieważonej narzeczonej wypowiadam,

bo ją jak te jabłka, jak wiersze, jak wzgórza wichrowe Kocham!

Jest wiosna, lat mam niewiele,

pragnę iść pod ostrze!

Chcę zaznać bólu,

chcę na niebiosach na harfie grać!

Jeden zgrzyt, trzask, ból, trzy kolory, oddech ustaje, serce nie bije.

O Panie, na imię Sandor miałem,

lat kilkadziesiąt liczyłem.

### Wiedzieć warto

☼ Litr wody ma dwadzieścia tysięcy czterysta kropli ☼ Uczeni odkryli pięćset sześćdziesiąt rodzajów zieleni liścia ☼ Jedna para szczurów może w przeciągu pięciu lat rozmnożyć się do dziewięciuset bilionów sztuk ☼ Na jeden kilogram mąki właściwej składa się trzydzieści tysięcy ziaren pszenicy ☼ Podział godziny na sześćdziesiąt minut oraz minuty na sześćdziesiąt sekund pochodzi od Babilończyków ☼ Największe zimno panuje na wysokości od dziewięciuset do jedenastu tysięcy metrów nad ziemią, powyżej powietrze staje się znów cieplejsze ☼

### Już jutro

„Pogoda ma być paskudna: trzynaście stopni i deszcz przez cały dzień. Bardzo nas to cieszy, gdyż podobno deszcz w dzień ślubu przynosi szczęście!” / Państwo już jutro Młodzi, 2003

### Kącik dobrych wiadomości

21 CZERWCA 2003 ROKU PO KILKULETNIICH OBLICZENIACH UDAŁO SIĘ USTALIĆ I POTWIERDZIĆ OSTATECZNY WYNIK RÓWNIANIA: **A + P = WM**

Kiedy żyć,  
jak nie teraz?  
Kiedy kochać,  
jeśli nie dziś?

